

Aleksandra Masny

„Moja mama”

To był jeden ze styczniowych dni 2007 roku, 29-letnia Anna umówiona na wizytę ginekologiczną szybkim krokiem zmierzała w kierunku lekarskiego gabinetu. Na dworze przószył lekki śnieg, był mróz. Dziewczyna wiedziała, że jest w drugiej ciąży, dwa dni temu wykonała test ciążowy. Chciała jedynie medycznego potwierdzenia. Wizyta miała być taka jak każda, powinna zakończyć się entuzjastycznie i radośnie, ale nie w tym przypadku. W trakcie badania lekarz potwierdził ciążę, lecz także obecność guza umieszczonego w okolicach jajnika. Nie mógł jej pomóc, radził by szukała pomocy medycznej w dużym mieście w klinice i wykonała szybko badanie markeru nowotworowego Ca 125. Zrozpaczona dziewczyna rozpoczęła walkę o życie i zdrowie swoje i dziecka. Wykonała badanie. Kiedy je odbierała, pani w laboratorium prosiła, by szybko udała się z nim do lekarza. Wtedy wiedziała, że jest naprawdę źle, wynik czterokrotnie przekraczał normę. Znajomi próbowali pomóc, ktoś polecił Annie znaną w Głogowie ginekolog, która naprawdę jej pomogła. Doktor uruchomiła swoje kontakty we Wrocławiu. W Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Pracowni Diagnostyki Ultradźwiękowej Kliniki Zaburzeń Rozwojowych Płodu 13 lutego lekarze poinformowali dziewczynę, że jest w 9 tygodniu ciąży oraz że ma guza ulokowanego w bliskim sąsiedztwie jajnika lub jelita. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Wracając do domu, oboje z mężem milczeli. Walczyli ze strachem, przerażeniem i bezradnością. W Głogowie na dziewczynę czekali lekarze, którzy wykonali jej badanie kolonoskopii. To badanie i pobranie wycinków miało wykluczyć nowotwór jelita. Czekanie na wynik, który miał przyjść za trzy tygodnie był koszmarem. Czas tak wolno płynął, a zegar dla Ani i jej rodziny stał w miejscu. Po upływie tych tygodni dziewczyna odbierała w szpitalu wynik histopatologiczny wykluczający nowotwór jajnika. Radość była ogromna. Było to małe światełko w tunelu. Teraz już ona i pani doktor miały stuprocentową pewność, że jest to zmiana w jajniku. Kiedy Anna przyszła do gabinetu pani doktor po raz ostatni po skierowanie do wrocławskiej kliniki, lekarz na pożegnanie powiedział do niej, że ma pamiętać, iż w domu ma drugie dziecko i ma o tym nie zapominać. 14 marca Anna wraz z mężem po raz drugi udali się do kliniki przy ul. Dyrekcyjnej, ale tym razem już na dłużej. W izbie przyjęć panował szum i gwar, życie toczyło się normalnie dal tego miejsca. Pacjentki wchodziły i wychodziły. Jedne z nich uśmiechają się, inne są gdzieś daleko myślami. Pewnie myślą o swoich najbliższych, może

się czegoś boją, tak jak Anna? Dziewczyna zostaje przyjęta na oddział patologii ciąży, gdzie lekarze starają się szukać możliwego dla niej ratunku, dobrego rozwiązania. Każdego dnia wykonywano jej szereg badań, niejednokrotnie widywała w nich człowieka pływającego w jej brzuchu. Był mały, ale bardzo ruchliwy i sprytny. „To moje dziecko” - myślała. Po zakończonych badaniach konsylium lekarskie postanowiło, że guz zostanie usunięty po wcześniejszym wzmocnieniu ciąży. Termin operacji przesunięto na kolejny tydzień. Dla Ani znów czas zwolnił, musiała czekać na zabieg, przyjmowała leki i zastrzyki. Bała się i modliła żarliwie do Matki Bożej, płakała i tęskniła za córeczką. 19 marca, dzień przed zabiegiem, Anna została zaproszona do gabinetu lekarskiego na rozmowę z lekarzami operatorami i anestezjologiem. W trakcie spotkania wnikliwie omówiono przebieg zabiegu oraz poproszono ją o podpisanie szeregu dokumentów. W jednym z nich był punkt który odnosił się do ratowania życia matki lub płodu. Dziewczyna popatrzyła na głównego operatora i poprosiła o wyjaśnienie. Co to oznacza?! Lekarz jak najprościej i łagodniej wyjaśnił jej, że w trakcie zabiegu może okazać się że jest wszystko dobrze, ale nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Gorszym wariantem może być nowotwór rozsiany po całej jamie brzusznej wtedy lekarze muszą wiedzieć, co mają robić. Anna w lewej kieszeni swojego szlafroka miała różaniec, ścisłała go tak mocno, że paciorki niemalże wbijały się w jej dłoń. Nie wyraziła zgody na usunięcie ciąży. Nie podpisała tego dokumentu. Kiedy opuściła gabinet pobiegła do toalety i tam tłumiała łzy, łkała z żalu, rozpaczy i strachu oraz bezsilności. Noc poprzedzająca zabieg była dramatem. Wcale nie spała, modliła się, płakała, oglądała zdjęcia córeczki, którą zostawiła w domu, bała się. Była matką, żoną i miała tylko 29 lat. Co dalej będzie? - pytała siebie i Pana Boga. Rano około godziny ósmej trafiła na blok operacyjny. Ze względu na jej stan, nie mogła mieć pełnej narkozy, otrzymała znieczulenie zewnątrzoponowe. Widziała wszystko, myjących się przed zabiegiem lekarzy, padający za szybą śnieg z deszczem, słyszała rozmowy pielęgniarek i lekarzy. Przed rozpoczęciem zabiegu główny operator wchodząc na salę uczynił znak krzyża, podszedł do przygotowanej dziewczyny i powiedział jej, że ma się nie bać. Jego żona modli się za nią i za dziecko. Rozpoczęli zabieg który na pozór okazał się łatwiejszy niż się spodziewano. Guz był duży o wielkości 70x64 mm, na szczęście cały, nie zauważono nacieków. Wysłano szybko wycinki do badania histopatologicznego. Doktor Marcin i pani doktor Agnieszka byli zadowoleni z wyniku zabiegu. Było dobrze. Rodzina i znajomi telefonowali do szpitala, a lekarze wciąż powtarzali, że rokowania są dobre. Kiedy młoda dziewczyna przebywała na sali pooperacyjnej podłączona do aparatury, około południa przyszedł do niej doktor Marcin, główny operator. Jego wyraz twarzy wskazywał wszystko, nie było dobrze, było źle, tragicznie. W badaniach

przeprowadzonych szybką metodą parafinową wykryto komórki nowotworowe o granicznej złośliwości. Powiedział, że następnego dnia do około godziny dziesiątej histopatologdy prześlą kolejne wyniki, w których powinny być wskazane, czy są nacieki w jamie brzusznej. Anna została sama z pielęgniarką, która co chwilę sprawdzała jej parametry życiowe i pytała, czy podać jej leki przeciwbólowe. Dziewczyna nie czuła bólu, nie chciała niczego, cichuteńko płakała, patrzyła w sufit. Jej łóżko znajdowało się pod oknem, a za nim widziała kościół. Jedyne, co umiała w tych chwilach to modlić się, oddała siebie i swoje nienarodzone 14-tygodniowe dziecko pod opiekę Matce Bożej. To właśnie Jej zaufała i zawierzyła swoje potomstwo. Rano została przewieziona na zwykłą salę. Nie miała siły, nie umiała stanąć na nogach, myły ją pielęgniarki, fizjoterapeuta uczył chodzić. Była jakby bez życia, tylko obecna ciałem. Czekala na wynik i męża. Zanim to jednak nastąpiło, zawieziono ją do pracowni ultrasonograficznej, by wykonać badanie. Lekarze musieli sprawdzić, jak czuje się dzieciątko. Kiedy lekarz wykonujący badanie przyłożył głowicę do brzucha dziewczyny, ona odwróciła swoją głowę od wielkiego ekranu, a po chwili usłyszała słowa: „Żyje, dziecko jest silne!” Doktor Marcin przytulił Annę, a dziewczyna płakała. Niedługo po badaniu przyjechał do niej mąż. Siedział przy niej, przytulał mocno, gładził dłoń, tylko nic do niej nie mówił. Czekał razem z nią na wynik, a czas wolno płynął. Nie miała siły na odbieranie pocieszających telefonów od rodziny i znajomych. Nie chciała słyszeć, że „wszystko będzie dobrze, że jest młoda, poradzi sobie, ma być silna”. Była wyczerpana. Stres i strach ją wyniszczały. Wreszcie nadeszły wyniki z których wynikało, że w pobranych wymazach cytoonkologicznych z jamy brzusznej komórek nowotworowych nie znaleziono. To była dobra wiadomość i wieka radość dla niej, dostała szansę od życia. Musiała uważać na siebie i dziecko, które nosiła pod sercem, musiała być czujna. Doktor Marcin był pełen optymizmu. Po wielu kolejnych konsultacjach onkologicznych i ginekologicznych postanowiono ciążę zakończyć zabiegiem cesarskiego cięcia w okresie od 30-38 tygodnia ciąży z jednoczesnym wykonaniem diagnostyki onkologicznej. Anna opuściła szpital 28 marca. W dniu wypisu doktor Marcin obiecał jej, że doprowadzi jej ciążę do końca. Jej zadaniem jest dbanie o siebie, oszczędzanie sił, słuchanie lekarzy i pojawianie się co dwa tygodnie na wizytach kontrolnych u niego. Do domu wróciła pełna nadziei. Za szybami auta widziała rodzącą się do życia przyrodę, w ogrodach rosły żółte żonkile. Chciała żyć, być matką, być zdrową! I tak mijały jej kolejne miesiące na wizytach kontrolnych we Wrocławiu i oczekiwaniu. Czuła się dobrze, wyniki też były poprawne. Maluszek w jej brzuchu rósł i nabierał sił. W trakcie jednej z wizyt lekarskich doktor powiedział do niej, że ma się nie bać, bo najgorsze już za nią. Jemu wydaje się, że ma „dobry układ tam na górze” (wskazał na niebo), powiedział, że to jej zasługa, bo

wtedy w gabinecie przed operacją wybrała dobrą drogę, nie pozwoliła zabić dziecka. Wybrała i wygrała dwa życia, swoje i dziecka. Lekarze zastanawiają się jak mogła zająć w ciąży w takim stanie, mając takiego guza?! Anna od początku mówiła, że dziecko, które nosi pod sercem, to będzie syn. Nikt jej w to nie wierzył. Medycy twierdzili, że będzie to płęć żeńska, która jest silniejsza i mocniejsza.. A ona cierpliwie z pokorą mówiła, że będzie to Szymon, bo imię to w języku hebrajskim znaczy „Bóg wysłuchał”. I tak się stało. Szymon przyszedł na świat 29 sierpnia o godz. 10.15 w Akademickim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu w pierwszym dniu 38 tygodnia ciąży. Był zdrowy, otrzymał 10 punktów w skali Apgara. Pani Annie usunięto po wykonanym cesarskim cięciu całą prawą stronę narządów rozrodczych. Pobrano wycinki do badania. Po raz kolejny Anna musiała czekać na wyniki histopatologiczne. Będąc w ciąży, Anna bardzo pragnęła karmić piersią swoje małe maleństwo, ale brała pod uwagę fakt, iż może trafić do kliniki onkologicznej. Musiałaby brać chemię, leczyć się, co uniemożliwiłoby jej karmienie dziecka. Pod koniec września Ania wraz z mężem i małym synkiem udali się do Wrocławia po ostatni wynik, który okazał się dla niej najlepszy jaki w życiu usłyszała! Była zdrowa i urodziła zdrowego syna. Karmiła go piersią prawie do trzeciego roku życia.

W tej historii wygrała miłość, pokora i siła walki matki, bo myślę, że każda z matek właśnie taka jest. Ta historia wydarzyła się naprawdę, ponieważ opowiada o mojej mamie – Agnieszce, która prawie jednaście lat temu walczyła o zdrowie i życie swoje i mojego brata Szymka. Moja mama miała nowotwór graniczny prawego jajnika CYSTADENOMA PAPILARE SEROSUM-CASUS BORDELINIE. Mama mówi mi, że wygrała dzięki ciąży swoje drugie życie, bo gdyby trafiła nieco później do lekarza ginekologa, mogłoby być dla niej za późno. Miała też wiele szczęścia, ponieważ na swojej drodze spotkała wspaniałych lekarzy, którzy z oddaniem ją leczyli i ratowali życie nienarodzonego dziecka. Szymon to dziś uczeń szkoły podstawowej. Jest wesoły i pogodny, kocham go miłością siostrzaną i nie wyobrażam sobie, że miałoby go nie być . Dziękuję Ci, Mamo, za życie Szymka i moje.